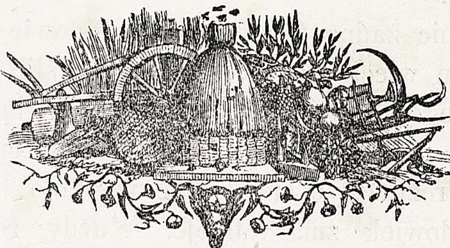
Tom X. Nr. 1.

1. Stycznia 1864.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Na Nowy Rok.

Na święta odwidził mnie kum serdeczny Bartłomiej Socha. Otóż była i gawędka szeroka a miła, bo już z Bartłomiejem nagadać się trudno, a potem i to warto spamiętać, że niema milszej zabawy jak mądra i przyjacielska rozgadka. Prawiliśmy tam o różnych rzeczach, a co ciekawsze, to wam spisuję, bo zda mi się, że to niejednemu przypomnieć sobie nie zawadzi.

Otóż rzeknę ja do Bartłomieja:

— Powiedzcie mi miły kumie, jak tam ludzie wesoło świątkują, bo ja chory i nikogo prawie nie widuję.

— Wesołości nie wiele widziałem miły bracie — powie Bartłomiej — a czemu tak, to nie trudno się domyśleć. Toć już od wielu lat jest u nas jeno smutek i tęsknica, człek rzadko kiedy z prawdziwej wesołości i ze szczęścia się śmieje. Skoro kto rozumniejszy i więcej baczy na wszystko, temu pewnie bardzo wesoło nie będzie na sercu; jeno głuptaki a lekkoduchy smutku nie znają, i tym się niema co dziwić.

— Prawda to — powiem — i jak ze wszystkiego miarkuję, to macie racyę miły kumie; ale powiedzcie mi przecie, czem się to tak dzieje?

— Toć to nie żadna tajemnica — odpowie Bartłomiej — i wy także o tem wiecie, a kiejbyście namyślili się dobrze, to byście sami sobie odpowiedzieli. Prawdę mówiąc, już od dawniejszego czasu nie wiele się zmieniło na świecie, i to właśnie źle. A toć jeno rozpatrzyć się dobrze w około, i wnet najweselszy nawet człowiek zmarkotnieje. Każdy rozsądny człek radby, aby jak najlepiej szło wszystko, aby ludziska coraz poczciwsi, rozumniejsi i szczęśliwsi byli. A czyż tak jest może? Gdzietam, zawsze po dawnemu. Rozpatrzcie się między ludźmi, a wiele tam grzechu i obrazy boskiej znajdziecie, wiele ciemnoty i głupstwa, a już najwięcej biedy i nędzy. Czyż to pociecha?

— Prawda to, prawda — powiem — ależ miły kumie przyznajcie, że i czegoś lepszego między ludźmi dopatrzyć można. Toć co roku tyle szkółek się zakłada, tyle dzieci uczy się. Toć co roku tyle gromad przychodzi do opamiętania, i jakoś się urządza lepiej, i większa między niemi uczciwość a pracowitość jak dawniej. Toć to wszystko idzie na lepsze i na pociechę.

— Baj! baju! miły bracie — zawoła Bartłomiej — a cóż to wszystko znaczy w porównaniu do całego kraju? Prawda że nowe szkoły zakładają, ale to na kilkanaście wsi jedną; prawda że i gromady przychodzą do rozumu, ale to na kilkadziesiąt jedna; prawda że i dzieci dają na naukę, ale jeżeli we wsi kilkadziesiąt dziatek, to posyłają ledwie kilkanaścioro. A zresztą już wszystko idzie po dawnemu. Między ludźmi jednakie swary i kłótnie, zawsze jeszcze są gromady, co to bij zabij na pana, co nie usłuchają nawet xiędza, zawsze jeszcze procesa różne i myśli złe i podejrzywania. Toć lada urwipołeć i obieżyświat niech się zjawi we wsi, a już mu ludzie wierzą więcej jak xiędzu i panu i zbałamucić się dadzą pewnikiem. A z tego wszystkiego co następuje? Oto bieda i nędza. Zamiast żyć poczciwie w zgodzie i miłości, nie prawować się i nie grzeszyć złemi myślami o cudzem, to ludzie marnują dobytek, nie starają się o poczciwy zarobek, a jeno do hultajstwą

się biorą. Więc najpierw idzie karczma i gorzałka, a za nią już wszystko złe.

— Jużto karczmy i pijaństwa bronić nie myślę — powiem Bartłomiejowi — i sam radbym je wyniszczyć do szczętu. Miły Boże! a toż ja prawie w każdym numerku Dzwonka piszę o tem, jakie to nieszczęścia i grzechy z pijaństwa, toć radbym każdego od nich uchronić. Także rozumiem z pewnością, że to najgorsze złe, i że z tego wszystko inne bierze początek. Niech zginie pijaństwo, a wnet wszystko pójdzie na lepsze, i ani się ludzie spostrzegą, jak się to odmieni.

— Prawda — powie Bartłomiej — prawda to, ale cóż z tego, czy może usłuchają ludzie tej prawdy i czy nie marnuje się darmo wasze pisanie? A toć ledwie dwudziesty usłucha, a reszta po dawnemu upija się najokropniej i sama lizie w biedę. Popatrzcieno na pierwszą lepszą wioskę naszą. Chałupy biedne, odarte i walące się, we środku jak w chlewie, brudno i brzydko, dzieci i ludziska starsi omurzane i obszarpane jak dziadowiny. Ani to pogadać z nimi, ani dopytać się mądrego słowa. Wszędzie ciemnota i nędza okrótna. A czemu tak, gdzie przyczyna tego nieszczęścia? Jużci w karczmie jeno i w gorzałce. Bo na gorzałkę przemarnuje się cały dobytek i cała praca, a gorzałka za to czyni ludzi podobnymi do bezrozumnych zwierząt, odbiera im rozum, pomiarkowanie, chęć do pracy, do porządku i do wszystkiego dobrego. O mój bracie! okropne to rzeczy. Toż nieraz we wsi ledwie kilku znajdziesz, co umieją czytać, albo i żadnego; ledwie kilku znajdziesz gospodarzy zacnych i poczciwych, a pijaków bez liczby, bo w każdej chałupie bodaj jeden. A niech przyjdzie święto, dzień Boży, który należy poświęcić na chwałę boską, to do wieczora cała wieś pianiuteńka, i owo napatrzysz się tam obrazy boskiej i grzechów jak w Sodomie czy Gomorze.

— Przestańcie miły kumie — zawołałem — bo na prawdę straszne rzeczy rozpowiadacie, i łzy idą do oczu na takie gadanie i serce się kraje. Na nieszczęście prawda to, że i takie smutne sprawy bywają między naszym ludowiną, ale już ja miarkuję z pewnością, że tak nie wszędzie, i że to tylko gdzie niegdzie. Prawda że jest między nami jeszcze wiele złego, ale

*

i dobre już się jawi często, i pięknych przykładów możnaby naliczyć nie mało. Przejedźcie się po naszym kraju polskim, a znajdziecie nie mało pięknych wiosek, z czystemi i całemi chatami, ze znacznym dobytkiem, z pracowitymi i poczciwymi ludźmi. Już się wszędzie szerzy nauka, rozum i zacność, a coraz więcej gubi się pijaństwo i głupota. Idzie to pomału, to prawda, ale i Kraków nie od razu zbudowano, i taka sprawa nie od razu wszędzie się przyjmie. Trzeba pracy i trudów, trzeba namowy, nauki i dobrych przykładów. Pracujmy wszyscy, nauczajmy i dawajmy dobry przykład, a wnet pójdzie praca raźniej i dobra sprawa rozpowszechni się prędko.

Słuchał poczciwy Bartłomiej, westchnął ciężko i dwie łzy potoczyły mu się z oczu, a potem ozwie się w ten sens:

— Może wy i racyę macie, i daj Boże aby tak było. Jam już stary, zaznałem wiele złego na świecie, przebolałem wiele, więc i nadziei tyle nie mam co drugi. Zawszem ja kochał nasz lud polski, i zawsze chciałem dla niego jak najlepiej, więc serce mię ciągle bolało i boli, kiedy widzę, że on tak pomału bierze się do dobrego, że jeszcze tyle złego jest w nim, tyle pijaństwa najbardziej, którego ścierpieć nie mogę, bo wiem, że to jest najpierwsza przyczyna wszystkiego nieszczęścia.

— Ależ miły kumie — przerwę Bartłomiejowi — i tego już nie tyle jak myślicie. Oto łońskiego lata byłem w królestwie Polskiem, koło Warszawy i indziej, i wszędy widziałem całkiem inszą i lepszą sprawę. Ze wszystkich sił pracowali tam panowie nad tem, aby lud odwieść od pijaństwa, zamykali karczmy, wyganiali arendarzów, i już tylko własne szynki mieli we wsiach, gdzie upijać się było surowo zakazano. Taki tam już zwyczaj, że w święto i niedzielę w żadnym szynku nie można sprzedawać wódki ani araku, jeno piwo dobre. Także żaden pan nie może mieć arendarza, bo ten naumyślnie dla zarobku ludzi rozpaja, ale musi przez własnego sługę szynk trzymać, który baczyć ma na to, aby nie było żadnych pijaństw. Naostatek w każdej karczmie jest tam pismo takie jak Dzwonek, i bodaj jeden człek piśmienny, który odczytuje drukowane ludziom. Nie mówię już o szkółkach, bo takich dobrych rzadko gdzię na świecie znajdziecie. Toż patrząc na to wszystko,

myślałem sobie ciągle, kiedy to będzie tak u nas w Galicyi, gdzie ludzie tacy sami Polacy i wszystko prawie tak samo. Bo co się u nas dobrego ledwie w jednej wsi na dwadzieścia zdarzy, to tam ledwie na dwadzieścia wsi jedna taka się znajdzie, gdzie będzie jeszcze kilku pijaków i karczma, i gdzie nie ma nauki jak się patrzy. O toć to ogromna różnica.

— Pewnie że jest różnica — rzeknie Bartłomiej, i to nie mała. Także nie wiem, czy się tu u nas da tak rychło i dobrze zrobić jak tam, bo widać u nas mniej chęci do tego.

Na to odpowiem kumowi:

— Jużto chęć do dobrego rzadko znaleźć od razu między ludźmi, ale też nie można powiedzieć, aby jej całkiem nie było. Trzeba namowy, trzeba pokazania, że tak pewnikiem będzie lepiej i mądrzej, a ludzie się rozmyślą i usłuchają. Mam ja nadzieję, że i my w tyle nie zostaniemy, że i nasi ludzie coraz więcej będą się imali dobrej sprawy. Toż w tem jest szczęście i dostatek, którego sobie każdy życzy, a jak jeno zmiarkuje, że tak jest na prawdę, to i czemuż nie miałby się nawrócić. I ja kocham nasz lud, i ja chcę dla niego szczęścia i dobra, więc życzę mu zawsze tego upamiętania i rozmyślenia się do dobrego. I na każden nowy rok powtarzam, że życzę wszystkim, aby im było coraz lepiej, i teraz znowu tak im napiszę.

Pokiwał Bartłomiej głową, pomedytował nieco i tak zakończył:

— I ja im i sobie to samo życzę, i pragnę dla ludu naszego trzeźwości i nauki, i szczęścia, jakie ztąd idzie. A także pragnę dla niego miłości i zgody, jaka jest w inszych ziemiach polskich, najbardziej w Królestwie. Dlatego właśnie, że tam jest miłość i zgoda między ludem i panami, że jedni drugim ufają i wierzą, dlatego idzie tam dobrze, na pociechę Bogu i na pożytek ludziom. Daj Panie Boże, aby i u nas tak jak najprędzej było, aby już z tym Nowym rokiem zaczęła się wszędzie dobra uczciwość między ludźmi, aby wszyscy pamiętali, że są synami jednej Ojczyzny i braćmi między sobą, że są wszyscy Polakami równymi sobie, a to tak panowie jak kmiecie, i mieszczanie i wszyscy.

Takie pisanie przesyłamy wam mili bracia na Nowy rok. i daj Boże, aby się ono jak najprędzej spełniło.

Przygoda Maćkowa noworoczna.

Głucho wichry szumią w lesie, bo bez liścia drzewa,
A na polach zimny śnieg, a lody na wodzie;
A wesoły Maciek idzie i raźno se spiewa,
Choć po śnieżnej zawierusze po kolana brodzie:

A co mi ta ciepła chata i co piec babiny,
Alboż to ja nie parobek i nie zuch nad zuchy,
Mam strzelbinę, a ta milsza dla mnie od dziewczyny,
I toporek, ale jaki! oj pewnie nie kruchy.

Chodzę sobie i poluję, a na wielkie zwierze
Co ma burą skórę z wierzchu, łeb cały kosmaty,
I co lubi okrótecznie wyrabiać grabieże,
I ludziska nam mordować i podpalać chaty.

A niechże cię tam wciornascy, burku obrzydliwy!
Bodajem cię dziś natrafił! — wołał Bartek żwawo,
A w tem zaszumi po lesie łoskot przeraźliwy,
I dwunastu burków idzie na Maćka z obławą.

Maciek stanął, spojrzał dumnie i za strzelbę chwyta,
I jak zmierzy, jak nie palnie, aż się zakurzyło;
Jeden burek nogi zadarł, jak gdyby kopyta,
A z dwunastu wrogów ciężkich jednego ubyło.

To nie dosyć, bo się Maciek rozgrzał okrótecznie,
I nabijał ciągle strzelbę i walił serdecznie,
I niebawem czterech jeszcze trupem polegało,
A ostatnich siedmiu burych co żywo zmykało.

Ano — huknął Maciek wesół — to mi to rok nowy,
Kiedymci ja z takiej biedy wyszedł cały, zdrowy,
I kiedym aż pięciu zwalił — Boże mój jedyny!
A to niechaj mi już żaden rok nie będzie inny.

Przygoda pijacka Macieja Pipy.

Przeszłego miesiąca wybrałem się na jakiś czas za różnemi sprawami z domu. Właśnie dwa tygodnie kończyły się już od mego wyjazdu, gdym w sobotę wieczorem przyjechał do wsi Wilkowy. Owóż poszedłem zaraz do tamtejszego wójta Sebastyana Pazura, który jest krewniakiem mojej żony, i prosiłem go, aby mię przyjął na nocleg. Nie odmówił mi tego i owszem ucieszył się serdecznie z mojego przybycia, a kiedyśmy zjedli wieczerzę, rozpoczęliśmy gawędkę nie na żarty, bośmy się podobno dopiero gdzieś po północku spać pokładli.

Na drugi dzień w niedzielę poszliśmy do klasztoru, co sobie przy wsi prawie na samym wierzchołku góry jakby w wianeczku między topolami stoi, a mur wysoki otacza go także w około.

Gdyśmy weszli do środka, to aż mi się miło na sercu zrobiło na widok, jak tam czysto i piękniutko! Ołtarze przystrojone we wstążki i kwiaty, przy każdym stoją cztery świece woskowe, i chorągwie są tam ozdobne, coby śmiało mogły stać w bądź którym miejskim kościele.

Po nabożeństwie, kiedy ludzie wychodzili z kościoła, rzeknie do nich Sebastyan:

— A możeta przyjdziecie do mnie po nieszporach na pogadankę!

Jakoż wieczorem poschodzili się gospodarze, izba była pełniutka, żebyś i palca nie tknął.

Więc Sebastyan rozpoczął tak prawić:

— Nie potrzebuję ja wam długo rozpowiadać o tem, jak to niezmiernie człowiekowi potrzebną jest nauka. Szczęśliwe są dzieci nasze, że ją nabywać mogą, bo się też o to starają łaskawi panowie dziedzice, xięża dobrodzieje i inni zacni ludziska — a gdzież to dawniej bywało? Człek nie wiedział co się za chatą dzieje, a teraz może wyczytać o różnych sprawach na całym świecie, o tysiącznych nowinach, którychby na wołowej nie spisał skórze. Wierzcie mi kochani gospodarze, żebym był trochę młodszym, tobym się na piękne wziął do pracy, ale już głowa moja za stara i pamięć za słaba.

Mam ci ja za to syna, co mi czyta, a ja słucham go ochotnie, chociaż człek dużo świata schodził i niemało się napatrzył różnych rzeczy, przecież dużo tam jeszcze nauki i nowin, o których się człeku ani śniło. Więc powiadam wam, że każdy kto ma sposobność, powinien chwytać się nauki i przynajmniej dzieci swoje dawać uczyć, aby sobie w życiu lepiej mogły dać radę, ustrzedz się od bałamutów różnych, co korzystają z ludzkiej niewiadomości. Na przykład rozpowiem wam historyę Macieja Pipy, co to ano był wójtem w naszej wiosce przedemną, jeżeli zechcecie posłuchać.

— Posłuchamy, gadajcie miły Sebastyanie — zawołali gospodarze.

Wtedy Sebastyan opowiadał im w ten sens:

— Każdy z was znał przecie dobrze Macieja, jaki to był człek porządny i poczciwy, a rzadko który wie, co się z nim dawniej działo. Owóż dostał on po swoim rodzicu spory kawał roli, chatę z gospodarstwem i jeszcze pieniędzy co nieco, a że to był chłopak swarny i zuchowaty, prędko się też zakochał a jeszcze prędzej ożenił z dziewczyną bogatych rodziców.

Bóg pobłogosławił to małżeństwo i dał Maciejom jedno dziecko, które rodzice pilnowali jak oka w głowie i kochali więcej nad życie. Niedługo atoli biedactwo ono zachorowało, porobiły mu się wrzody po ciele, to też Maciejowie bojąc się o niego, poszli co tchu do pana doktora po poradę. Pan doktor obejrzal dziecko, zapisał leki i kazał im zaraz iść do domu. Na nieszczęście spotykają w drodze starą Wymazalinę, co to uchodziła za lekarkę we wsi, i pyta ich:

— A zkądże to idziecie moi kochani?

A Maciej odpowie:

— A z miasta od pana doktora, bo nam dziecko niebezpiecznie chore.

A Wymazalina zaraz poderwie:

— I wy wierzycie w jakichś tam doktorów? co oni się rozumieją?... Nadają wam jakichś popłuczyn, co tak drogo kosztują i wy dacie dziecku i musi biedactwo zejść niepotrzebnie z tego świata przez tych...

— Ale co wy też terkoczecie, moja kobieto — przerwie Maciejowa — i na cóż by oni byli po miastach?

Na to powie Wymazalina:

— Jużcić nie na co innego, jeno żeby za coraz inne leki brali grube pieniądze, a ludzi wtrącali do grobu.

I jak zaczęła stara baba wywodzić, jędyczyć się i kusić, tak Maciej rzucił flaszką z lekarstwami o ziemię, i rad słuchając głupiej mowy, zaraz pyta:

— A cóż się to robi na pryszcze?

— Trzeba tylko dziecko ukąpać w zimnej wodzie — powie Wymazalina — obwinąć szmatami, a potem w nieckach wsadzić, jak się chleb wypiecze do pieca, więc jak się tam dobrze wypoci, krew się rozbiegnie, i dziecko będzie zdrowe jak rybka we wodzie.

I uwierzyli Maciejowie w radę Wymazaliny i jak tylko przyszli do domu, napalili w piecu, ukąpali dziecko a potem wsadzili je do pieca.

Dziecko nie mogąc znieść gorąca wielkiego, poczęło okrótnie wrzeszczeć, ale to nic nie pomogło, bo Maciejowa powiada jeszcze do swojego:

— I widać, że rada skutkuje, bo się krew musi rozchodzić.

— A prawda — odpowie Maciej, i zasunął mocniej drzwiczki od pieca dla lepszego ciepła.

— Toż to dopiero był ten Maciej głupi, jak stołowe nogi, żeby zaś słuchać takiej przeklętnicy! — zawołali gospodarze.

Na to rzeknie Sebastyan:

— Przekonajcie się więc, co to człowiek bez nauki nie wydziwia! Dziecko krzyczało coraz bardziej, a Maciejowie pocieszali się ciągle, że to wyjdzie na dobre, bo przecież Wymazalina to nie doktor z miasta. Aż kiedy dziecko przestało jęczeć, otwiera Maciej drzwiczki, wyciąga niecki, myśląc że już zupełnie wyzdrowiało, naraz patrzy, a tu dziecko ani dycha, tylko czerwone i spieczone jak burak. Dopiero teraz w płacz okrótny oboje, zaczęli sobie rwać włosy z głowy i tłuc nią o ścianę z wielkiej żałości, ale to już było po próżnicy.

Na taki krzyk i lament pozbiegali się ludzie ze wsi i zaraz gadają:

— I nie trzeba to było słuchać doktora, kiedy to przecie człowiek z rozumem, bo się na to długo uczył w szkołach?

A Maciej odrzeknie:

— Aj któż się to mógł spodziewać, że z tej Wymazaliny taka niezdara, i jeszcze wywodziła na wszystkie leki i wychwalała swoją radę.

— Macie więc naukę po niewczasie — zagada Wawrzyniec Kociuba — że zawsze należy słuchać albo doświadczonych albo wyuczonych ludzi.

— Oj Boże mój, Boże! moje kochane dziecko! — lamentowała znowu Maciejowa i tak zaczęła z mężem zawodzić, że aż wszyscy ludzie powychodzili z chaty.

Nie długo przychodzą tam niby na pocieszenie dwaj gospodarze, Kuba Opuchlak i Kasper Ciurnosik, co to byli wyćwiczeni łyktusy, i zaraz podając flaszkę z gorzałką Maciejowi powiadają:

— Ej co się będziecie gryźć i trapić, napijcie się oto wódeczki, to zapomnicie o całej turbacyi, boć ona przecie na to ogromnie przydatna.

Usłuchał Maciej pokuśników, wziął flaszkę do ręki i powiada:

— Nigdym jej jeszcze nie kosztował, zaś teraz muszę ze zmartwienia zalać robaka, co mię gryzie okropnie.

A łyktusy dogadują:

— Tak, tak mój kumotrze. To się już nie wróci, uciszcie się przecie, bo inaczej możecie dostać jakiego bolenia.

I uciszył się niedługo Maciej, bo mu wódka zaszumiała w głowie i sen oczy zakleił. Dwaj kusiciele wynieśli się co prędzej z uciechą, że znowu będą mogli tumanić nowego kompana, bo widzieli, że ma dobytek i pieniądze.

To też na trzeci dzień po pogrzebie przystąpili do Macieja i mówią do niego:

— Już co prawda, to was spotkało srogie nieszczęście. Musi was też bardzo boleć serce za taką miłą dzieciną, co wyglądało jakby aniołek z niebieskiemi oczkami?

Na takie gadanie Maciej rozpłakał się jak bóbr, więc Kuba z Kasprem wzięli go pod pachy i zamiast do domu zaprowadzili go do karczmy. Kazali żydowi podać sobie wódki i napili się po kieliszku. Maciej za ich dobre serce zapłacił kolej drugą, trzecią i piątą, i w krótkim czasie tak się popili, że ledwie na nogach stali.

Od tego czasu kumoterstwo powiększyło się między Maciejem, owóż zaczęli go obaj nawiedzać coraz częściej, przypominali mu owo strapienie, i tym sposobem wyciągali go do arendarza.

Maciej na dobitek swego nierozumu słuchał nieszczerych przyjaciół i z desperacyi niby dla zalania zgryzoty chodził z nimi pić gorzałkę, i tak potem nawyknął do niej, że temu nie było końca i miary, albowiem wyrobił się na pijaka z profesyi. Żona ze strapienia wychudła jak szczypa, gospodarka zeszła jak to mówią na psy, dobytek niknął z dnia na dzień coraz więcej, bo Maciej przestał doglądać w chacie i oborze i po całych godzinach siedział przy kwaterce.

Nie dużo upłynęło czasu, a Maciejowi mało brakowało, żeby całe postradał mienie. Ludzie poczęli go napominać jako człowieka młodego, ale wiadomo przecie, że gdy pijak przestanie chodzić do kościoła, zobojętnieje na wszystko, tak też i Maciej głuchy był na ludzkie rozgadki. Codzień robił hałasy w domu, wszczynał bitki ze żoną, a zaś razu jednego, gdy przyszedł w nocy pijany, jął na nią przeklinać i krzyczeć, że mu zimne podała jedzenie, bo jużcić nikt do tego czasu ognia nie będzie trzymał w kominie.

Ze złości wyciągnął gwóźdź ze ściany i tak pokłuł żonę okrutnie, iż prawie konająca leżała na łóżku. Ludzie dowiedziawszy się o tej sprawie, przyszli do chaty i powiadają do Macieja:

— Ależ bójcie się Boga, co wy jeno robicie z waszą biedną kobieciną! Upamiętajcie się już raz, boć ją zamęczycie przed czasem.

Teraz zagada znowu stary Osika:

— Pójdźcie mój ojcze ze mną do miasta do samego xię-

dza kanonika, tam złóżcie przysięgę, jako już więcej wódki pić nie będziecie.

I usłuchał Maciej starego Osikę, zrobił wszystko jak się patrzy i może ze dwa dni statkował i siedział w domu.

Wnet też przychodzi Kuba z Kasprem i zaczyna rozmowę:

— A cóż to się znaczy, że was nigdzie zdybać nie można? Jak widzę, robi się z was jakiś pustelnik... a nasz poczęstunek nie byłby na razie?

I wyjął z zanadrza prędziutko flaszkę kropli długiego życia, bo tak wódkę nazywał, i podaje Maciejowi.

— Ej moi kumotrowie — przemówi Maciej — ja już nie mogę używać żadnych trunków, bo się ich na śmierć wyrzekłem w całem mojem życiu.

— Gadajcie sobie zdrowi! — zawoła Kuba — alboż to jeden wyrzekał się to araku albo wódki, a i tak dobrze sobie smoli i nic mu nie brakuje. Toć przecież Matys Płachta jak zrobił przyrzeczenie, że wódki pić nie będzie, święcie też dotrzymuje słowa, bo ją teraz je z kaszą albo ziemniakami. I cóż mam wiele gadać — łyknijmy ano po jednemu i kwita.

I jak jęli basować i dogadywać, Maciejowi zrobiła się ślinka i palnął nareszcie jeden kieliszek, powtórzył wnet z żalu że tak swoję Kachnę poturbował, a potem jak kawał drzewa rzucił się na łoże, długo marudził i ledwie zasnął.

I znowu rozpił się Maciej od tego dnia z namowy owych oszustów na nowo, i dziwa dokazywał ze żoną. Kachna widząc że bieda na prawdę poczyna zaglądać do chaty, rozmyśliła sobie porzucić pijaka i odejść do rodziców.

Jakoż tak się stało. Maciej rozsierdził się okrótnie, potem upił się jak bela i gdzieś tam w rowie nocował, bo z karczmy do chaty nie mógł trafić. Była jakaś wilgoć niezdrowa, więc przeziębił się Maciej i zachorzał okrótnie. Dowlókł się rano do chaty, upadł na łoże i powstać już z niego nie mógł.

Kilka dni leżałci tak niby Łazarz drugi, i wody nawet nie było mu podać komu. Dopiero trafunkiem ktoś zaszedł do chaty, zobaczył całą nędzę Macieja i dał znać jego Kachnie. Choć on jej niemało dokuczył, i choć już nie chciała więcej wracać do męża, przecież jak się o chorobie jego dowiedziała,

poczciwa kobiecina zaraz przybiegła i chętnem sercem jak dobra żona jęła go pielęgnować.

Choroba była długa i ciężka, kosztowała także drogo, więc resztki dobytku poszły na lekarstwa, a Maciejom została pusta chałupa i pusty grunt. Ale Kachna nie wymawiała tego mężowi, biegała za zarobkiem i ratowała go własną pracą. Powoli przychodził Maciej do zdrowia, rozpatrywał się we wszystkiem i dopiero zmiarkował, jaki to on okrótny grzech popełnił i jak srodze pobłądził.

Pewnego wieczora, kiedy już całkiem był zdrowy, siadł na ławie koło Kachny, i tak się do niej odezwał:

— Moja miła Kachno, powiedzże mi, jak ty możesz być taka dobra i poczciwa dla takiego hultaja i pijaka jak ja, com ciebie razem ze sobą przyprowadził do nieszczęścia, com zmarnował prawie cały nasz dobytek, com nareszcie tobie tyle dokuczył w życiu?

Kachna jakoś z weselem spojrzała na niego i powie:

— Ani słowa, żeś ty takim był, ale to już minęło i nie wróci, i mam ja nadzieję, że mi dobre serce moje wynagrodzisz uczciwością i poprawą. Bo i jakże byś ty mógł znowu na dawne hultajstwo się puścić, kiedy teraz widzisz dokumentnie, że to jeno na szkodę i na złe wychodzi. Więc i niemało wycierpiałeś się za te grzechy, i pewnikiem już ci one obmierzły tak, że się ich więcej nie imiesz.

— Pewnie że nie — zawołał Maciej — bo aż mi włosy na głowie stają, kiedy sobie pomyślę, co ja za zbrodnie popełniłem. Więc najpierw przez głupotę moją zabiłem dziecko nasze ukochane, a potem rozpiłem się jak łotr ostatni, i przysięgę złamałem i najlepszą kobietę do nieszczęścia przywiodłem. Och! toć ledwie całe życie wystarczy, aby Pana Boga za takie grzechy przebłagać i wszystko złe naprawić.

Mówił to Maciej ze łzami i szczerze mówił, bo od razu jął się poprawy. Pracował co sił starczyło, zrobił się pobożny jak mało, i niebawem był jednym z najporządniejszych gospodarzy we wsi. Przy pracy wrócił dobytek i zamożność, a tych już tylko na dobre używał Maciej, sam wyfundował szkołę we wsi, dał kawał gruntu własnego dla nauczyciela, a naostatek

ustanowił fundusz na szpital wiejski i na zapłatę doktora, aby już żadne dziecko tak marnie ze świata nie schodziło jak jego. Na te dobre uczynki rozdał prawie cały swój majątek, którego pracą powiększył znacznie, bo już się więcej dzieci dochować nie mógł. I mawiał zawsze, że chętnie to przyjmuje od Pana Boga jako karę za grzechy dawniejsze, a choć mu żal, że nie ma kogo zostawić po sobie, to i pociechę ma, bo mu już chyba odpuści Pan Bóg śmierć pierwszego dziecięcia.

Przeżył tak Maciej długie lata, był cosik dwadzieścia lat wójtem we wsi, i znała go cała wieś jako najzacniejszego staruszka, który zawsze miał jakąś dobrą naukę do powiedzenia i zawsze dla biednego a potrzebującego miał miłosierdzie i datek dobroczynny.

— Otóż ten Maciej — kończył wójt rozgadkę — pierwszy założył szkółkę w naszej wsi, i zawsze powtarzał, niech ludzie dają uczyć dzieci, bo to będzie dla nich największe bogactwo. Gdybym ja był w młodości uczył się, tak mówił nieraz, tobym w życiu mojem nie zaznał tyle nieszczęścia. Bo pierwszą przyczyną dawnej niedoli mojej była głupota, i ona zawsze najpierw wiedzie ludzi do złego.

I jużci tak jest a nie inaczej. Maciejowi udało się jeszcze dobrze, że szczęśliwym przytrafunkiem poprawił się i dawne grzechy odpokutował. Ale wielużto ludzi umierają w grzechu i w złem, bez poprawy i bez pokuty! Cóż ich od tego może uchronić? Jużci święta wiara, nauka i rozum. Toż moi mili nie żałujmy ich dzieciom naszym i baczmy zawsze na przykład Macieja, a zaraz znajdzie się chęć posyłania dziatek do szkoły, chronienia się pijaństwa i grzechu.

Józef z Bochni.

Łakomy dwa razy traci.

Dobrze to mówi pismo święte: nie szukaj cudzej krzywdy bo krzywdą nie dorobisz się nigdy niczego, a jeno stracisz swoje. Stało się tak pewnemu skąpcowi i łakomcowi, o czem posłuchajcie historyi.

W mieście pewnym żył biedny malarz, człek bardzo zacny i poczciwy, ale chudzina okrótny. Owóż naostatek ze zgryzot różnych zachorzał nieboraczysko i zmarł nawet, a pozostała po nim biedna żona z dwojgiem dzieci w prawdziwej nędzy. Co ta jeszcze było grosza, wydało się na chorobę męża, a teraz nie stało nawet na kawałek chleba. Pomagali tam ludzie datkami, więc jakoś żyło się, ale stancyi zapłacić już zgoła nie miała czem biedaczka. Gospodarz był skąpy i łakomy, zaczekać nawet nie chciał, a iż mu winna była za jeden miesiąc, to kazał ją zlicytować i sprzedać jej wszystkie graty, choć ta biedaczka z płaczem i na kolanach prosiła go o zmiłowanie.

Mieszkał niedaleko drugi malarz, bardzo sławny, któremu się nieźle powodziło i który też różnemi sposobami ratował oną wdowę biedną. Kiedy się teraz dowiedział o nieludzkości jej gospodarza, tak rzeknie do wdowy:

— Nie turbujcie się i nie płaczcie, a jakoś ja poradzę, że jeszcze majątek zrobicie na tej licytacyi. Jeno dajcie najpierw na sprzedaż ów obraz stary, co tam w kącie wisi.

Był zaś u tej wdowy taki stary obraz, ot grat do niczego prawie. Czasem to taki obraz wartuje okrótne pieniądze, ale ten nie był taki.

Kiedy nadszedł dzień licytacyi, zeszli się różni kupcy, żydzi, gospodarz sam i ów malarz poczciwy. Woźny od sądu i urzędnik puszczą na licytacyę najpierw ów obraz. Jak to zobaczy malarz, skoczy wnet do obrazu, zacznie mu się przypatrywać, i od razu daje za niego dwadzieścia złotych. Usłyszał to łakomy gospodarz i myśli sobie:

— Oho! to pewnie jakiś znaczny obraz, kiedy go chce kupić taki sławny malarz, ale nie dostanie on go, bo ja sam kupię i będę miał piękny zarobek.

Owóż zawoła wnet:

— Dwadzieścia i pięć złotych!

A malarz sobie woła:

— Trzydzieści!

A gospodarz sobie znowu:

— Czterdzieści złotych!

I tak jak zaczną obaj przepłacać, to już naostatek dawał gospodarz aż trzysta złotych. Wtedy umilkł malarz, a gospodarz uradowany zapłacił pieniądze, wziął sobie kilka złotych, co mu się należały za stancyę u wdowy, i już nie kazał więcej licytować. Ucieszony powie naostatek do owego malarza:

— A co mój panie, prawda że piękny obraz i dobry interes, i dla tego nie puściłem się go, bo zaraz zmiarkowałem, że kiedy taki sławny malarz chce go kupić, to on pewnie wiele wart. A co? może nieprawda? Ha, ha! panie malarzu, powiedzcież mi na prawdę, wiele on jeszcze wart, bo ja wiem, żem go tanio kupił!

— Wiele on wart? — powie malarz — ot na prawdę to on wart pięć złotych.

— A to co? — zawołał przestraszony gospodarz — co wy mówicie, to chyba żarty, boście sami dawali prawie trzysta złotych.

— Dawałem dlatego — powie malarz — bo wiedziałem, że wy więcej dacie, i wyciągnąłem was tak naumyślnie za karę, iż nie mieliście miłosierdzia nad biedną wdową i nad sierotami. Otóż macie teraz naukę, że skąpy i łakomy dwa razy traci, i nietylko że nieuczciwym sposobem nie dorobi się niczego, ale jeszcze i swoje postrada.

Gospodarz aż się za włosy chwycił, tak mu to smakowało, ale cóż było robić. Spuścił więc nos jak to mówią, na kwintę, i poszedł precz ze wstydem, bo się wszyscy okrótnie śmiać z niego zaczęli. Zaś biedna wdowa za one trzysta złotych kupiła sobie kramik, zaczęła uczciwy handel i dobrze jej się odtąd powodziło, więc błogosławiła zawsze i modliła się za poczciwego malarza, który ją taką ucieszną sztuką wydobył z biedy i nędzy.

RÓŻNOŚCI.

Nieszczęśliwy wypadek. W grudniu pojawiły się w obwodzie Żółkiewskim stada wilków, które napastują wsie i wielki strach między ludźmi tam czynią. Pewnego dnia nawet wpadł wilk wściekły do wsi w Horodłowicach, i pokąsał kilkoro ludzi, a tejże samej nocy wpadło stado wilków do Ulchówka, gdzie także czworo ludzi pokąsały wilcy. Chorych pokąsanych przywieziono zaraz do szpitala we Lwowie.

Redaktor: **B. Kalicki.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**